

What does beauty mean in eco-design?

Ecobuild became one of the most important places where sustainable design is discussed in the UK. However, haven't we forgotten that part of architectural design is beauty? What does beauty mean in eco-design? It seems that contemporary fashion is really compatible with green ideas. Do we need a new vision for green beauty?

Czy ekoarchitektura musi być taka brzydka?

Tytułowe pytanie nękające ekosumienia architektów przyszło mi na myśl podczas tegorocznej edycji londyńskich targów „Ecobuild”, mieniących się największą imprezą ekobudownictwa we wszechświecie. Ich bilans to: ośmiuset wystawców, ponad sto konferencji i około trzydziestu tysięcy potykających się o siebie odwiedzających, którzy widzieli tu chyba więcej wełny w materiałach izolacyjnych, niż kiedykolwiek na owczych wzgórzach Albionu...

Zielony zawrót głowy wywoływała barokowa mnogość kolektorów słonecznych, ekofarb z gliny, ekodachówek z opon poddanych procesowi recyklingu, eko-izolacji z makulatury, ekotoalet itp. W gęstwinie wiatraków stały turbiny „Silent Revolution” (por. A&B 9/2007). Można było wejść do wykonanego w skali 1:1 modelu domu szkieletowego z masą termiczną w umieszczonych pod sufitem zbiornikach wody, albo też komponować żywe obrazy na elewacjach, co jest wreszcie możliwe dzięki nowym technikom zazieleniania ścian i dachów. Miłośnicy architektury naturalnej z radością mieszały wszystko z błotem, stawiając zabita deskami miniosadę, a przedstawiciele uniwersytetów próbowali wszystkich odwiedzających zapisać na ekokursy. Targi jak gra w zielone. Nieważne, co i w której kieszeni, byle dobry był kolor. Był nawet samochód sportowy z konopi – „Lotus Eco Elise” z bateriami słonecznymi na dachu. Zainteresowanych szczegółami odsyłam na stronę: <http://www.ecobuild.co.uk>. A my powrócmy do naszego tytułowego pytania, które pojawiło się na jednym ze stu seminariów. Kiedy je zadałem, zniesmaczony widokiem biurowców o najwyższych atestach – superizolowanych i superwentylowanych pudeł, charakteryzujących się nudą i introwertycznością – zapanowała konsternacja, a następnie usłyszałem, że... ekoatesty nie mierzą estetyki.

ekobrzydota

Pytanie o ekobrzydotę nęka zresztą nie tylko mnie. Germaine Greer – australijska pisarka, krytyczka modernizmu i zarazem najbardziej chyba znacząca feministka XX wieku pytała podczas jednego ze spotkań „Ecobuild”: „Co pięknego i ważnego daje ekoarchitektura?”. I odpowiadała: „Armię koszy na śmieci do recyklingu! Mamy więcej tych koszy niż przestrzeni publicznej! Do tego dochodzą klęska idei „zrób to sam” (...) i te hermetycznie zafoliowane domy, odcięte od świata (...) oraz paskudne łapacze wiatru, a także nalepiane baterie słoneczne... Powinniśmy z nich budować domy... Czemu je tandetnie i nieszczerze nalepiamy? Jesteśmy niedorozwinięci, nieszczerzy i nijacy!”. Tej kanonady zarzutów nie udało się odeprzeć nawet Billowi Dunsterowi, szefowi pracowni ZEDfactory (por. A&B 9/2007), który udowadniał, że ekoarchitektura może być nietuzinkowa, intrygująca i różnorodna.

Może i może. ZEDfactory rzeczywiście umie intrygować. Jest jednak raczej w mniejszości. Nie ukrywajmy, ekoestetyczny problem istnieje. Dlaczego? Może dlatego, że proekologiczne myślenie narzuca architektowi sporo nowych wymagań. On, dwojąc się i trojąc pomiędzy instalatorem a izolatorem, ekoformularzem a murarzem, zapomnieć może, że *venustas* to jedna trzecia architektury... a jak słyszeliśmy, ekoatesty tej trzeciej części „nie mierzą”.

moda czy biznes?

Jeszcze kilka lat temu na polskich politechnikach podczas debat pt. „Jak przekonać do ekoarchitektury?” słyszało się od nauczycieli odpowiedź: „trzeba na nią stworzyć modę”... Niby jest to jakaś odpowiedź, ale przyznacie: dość miętka. Ekologia związana jest z ekonomią, moralnością, może nawet rewolucją. Che Guevara (cokolwiek o nim myślimy) nie rozpoczynał przewrotu od sprzedaży T-shirtów ze swoją podobizną, święty Franciszek nie założył zakonu, bo miał *trendy* habit, ani Balcerowicz nie przekonał do reform, bo przestał nosić białe skarpetki do garnituru. Gdyby te idee nie miały filozoficznego, społecznego i ekonomicznego umocowania, nie przekonałyby nikogo. Problem z modą jest taki, że niekoniecznie związana jest z pięknem czy z ideą, a udaje, że jest jednym i drugim.

Tym, którzy widzą w modzie jedyny ratunek dla ekobudownictwa funduję bilet na „Ecobuild” (najbliższa edycja już w marcu 2010 roku). Przysięgam, hipisów w kolorowych fatałaszki tam nie widziałem, za to spotkałem wielu panów w szarych garniturach. Nie przyjechali po to, by wymieniać poglądy o etyce czy estetyce, ale... wizytówki i kontrakty.

ekologia – chodliwy towar

Anglia, znana jeszcze piętnaście lat temu jako ekoabnegat, organizuje największe na świecie ekotargi... Czy deweloperzy nagle pokochali misie panda? Czy przejęli się, że umarł ostatni biały delfin? A może ktoś wreszcie przeczytał raport IPCC [Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu – przyp. red.], który udowadnia, że katastrofa ekologiczna nie „może się stać”, ale „jest” tragicznym faktem? Chyba raczej społeczna świadomość przekroczyła masę krytyczną i ignorowanie problemów środowiska jest coraz mniej akceptowane. Inną rzeczą jest, że angielscy i europejscy politycy powoli zaczęli wprowadzać mechanizmy prawne i ekonomiczne, które tłumaczą zieleń lasów na zieleń banknotów. Rząd od paru lat zaczął premiować inwestorów i spółdzielnie wykazujące się wyższymi ekostandardami. Coraz trudniej jednak dostać dofinansowanie na piękne oczy (nawet te z zielonym makijażem). Tak powstał w ostatnich latach nowy biznes polegający na tworzeniu ekostandardów oraz szkoleniu ekspertów do ich szacowania. Nieco to karykaturalne, bo standardy, kody i poradniki dublują się nawzajem. Jednak od dziesięciu lat przechodzą ewolucję od dobrowolnych do coraz bardziej zobowiązujących. Lokalne władze i sami klienci zaczynają o nie pytać lub nawet ich wymagać. Choć wiele z nich jest wciąż dobrowolnych, jak „Code for Sustainable Homes”, to staną się niebawem w Anglii prawem. Co ważniejsze, podobne atesty powstają na świecie, np. „Passivhaus” w Niemczech, „Haute Qualité Environnementale” we Francji, „MINERGIE-P” w Szwajcarii czy „Green Star” w Australii. Ciekawe jest też to, że wiele z nich, jak północnoamerykański LEED, to klony angielskiego BRAAM. Dokumenty te same w sobie nie są zbyt porywającą literaturą. To zwykle rozbudowane formularze rozkładające śliskie pojęcie ekobudownictwa na bardziej uchwytnie rozdziały, jak np.: 1. Energia; 2. Woda; 3. Zanieczyszczenia; 4. Zdrowie; 5. Materiały; 6. Środowisko; 7. Śmieci. Nudne? Hm... mnie się wydają czasem przydatne. Spełniają ważne funkcje, bo choć nie są obowiązkowe, wszyscy, którzy chcą wyglądać poważnie, odnoszą się do nich i zabiegają o wysokie oceny. Opracowania te

porządkują i tworzą ważne pojęcia, którymi chyba warto dziś wzbogacić swój architektoniczny język.

Marcin Mateusz KOŁAKOWSKI